

Wyznania byłego więźnia (str. 1,10) Kielbasa i demokracja (str. 2) Lublin podczas wojny 1920 (str. 5)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-4108 Nr Ind. 382514

Kamena

NR 10 (908)

15 maja 1988

Cena 35 zł



Duchy Nałęczowa

Ireneusz J. Kamiński

DWADZIESCIA pięć lat temu Nałęczów otrzymał prawa miejskie.

Dziesięć lat wcześniej powstało Państwowe Przedsiębiorstwo „Uzdrowsko Nałęczów”.

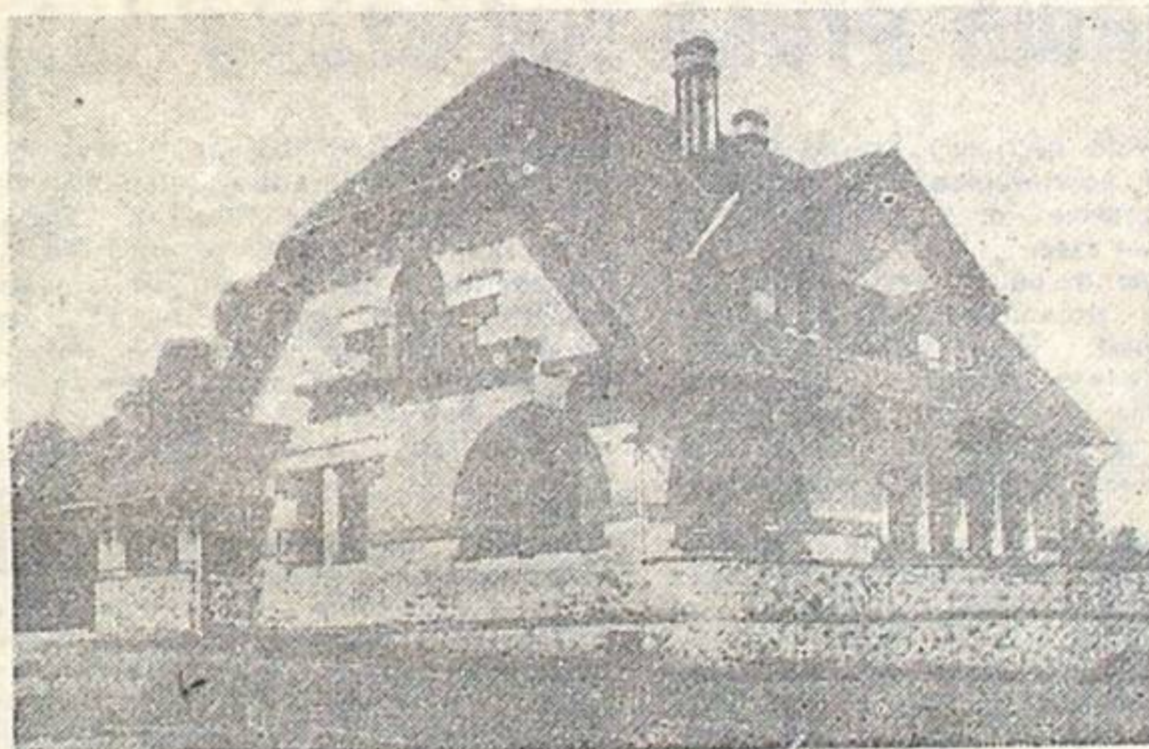
Pierwszy z jubileuszy uważa się za ważniejszy, bo przed rokiem 1963 miejscowość nigdy nie była miastem, natomiast lecznicze właściwości tutejszych wód rozpoznano już na przełomie XVIII i XIX stulecia. „Wody mineralne w Nałęczowie opatrzone zostały coraz większymi wygodami i przyjemnościami... Dom gościnny nowoukształcony o 20 stancjach, oberża, billard restauracja z trunkami i wszelkimi artykułami do dobrego stołu służącymi... Anteka, ogród w nowy sposób dla przechadzki ukształcony, oślice dla mleka sprowadzone i serwatka w tymże sposobie jak w Reinerz (obecnie Duszniki) urządzona...” — donosił „Kuryer Warszawski” 1821 roku.

Dzisiaj gazeta lubelska informuje, że „W „Pałacowej” głównie trunki” choć niegdys kawiarnia w historycznej rezydencji Malachowskich oferowała także „piwo orzednich marek”. W notatce nie ma wzmianki o oślicach i serwatce jest natomiast przypomnienie że w zabytkowym budynku ukończonym w 1775 roku według projektu Ferdynanda Naxa, „Bolesław Prus pisał „Lalkę”

Nazwa Nałęczów obowiązuje od 1772

roku i pochodzi od herbu Stanisława Nałęcz-Malachowskiego starosty wawolnickiego krewnego marszałka Sejmu Czteroletniego oraz powsta, który na gruntach wsi Bohotnica Wielka założył rezydencje (pałac, park) z folwarkiem. Stanisław nie wyróżniał się w życiu publicznym Rzeczypospolitej, zmarł w wieku 56 lat ale z oczywistych powodów otwiera galerię „głów nałęczowskich”. W tym dostojnym szeregu znajdujemy m.in. postaci trzech lekarzy, powstańców z 1863

roku: Konrada Chmielewskiego, Wacława Lasockiego i Fortunata Nowickiego którzy po powrocie z zesłania założyli spółkę i ponownie uruchomili uzdrowsko kompletnie zaniedbane i zapomniane po powstaniu listopadowym. W roku 1880 odrodzony kurort przyjął aż 1100 „kapielników” — bardzo dużo na owe czasy choć tylko tyle ile obecnie przypada na jeden turnus w sanatoriach państwowych, resortowych i w domach wczasowych FWP.



Willa „Brzozy” około 1910 r. (widokówka ze zbiorów Stanisława Tarkę).

Pierwszorzędne miejsce w tej galerii zajmuje też Michał Górski, jeden z inżynierów Kolei Nadwiślańskiej której otwarcie (1877) okazało się zresztą dobrodziejstwem dla uzdrowska połączonego odąd wygodnie z Warszawą Górski wykupił Nałęczów od ówczesnej właścicielki generalowej Konstancji Czermierzyńskiej, przystąpił do spółki lekarzy a następnie, na wyjątkowo dogodnych warunkach, odsprzedał jej dzierżawiony dotąd pałac i park z rzeczką Bohotniczką która do dziś zasila staw w lessowej kolebce chroniący ryby wielkie i małe jak jedna z trójcy ooblikskich „Paniń nałęczowskich” ładnie wyrzeźbionych w latach siedemdziesiątych naszego wieku przez gdańskiego artystę. Adama Smolane Inżynier Górski w ogóle był człowiekiem myślicy, może nawet należałoby go uznać za pioniera ochrony przyrody i krajoznawstwa jako wartości kulturowej. Parcelując pozostała część Nałęczowa na działki budowlane, zastrzegł w umowach z nabywcami, że na wydzielonych terenach nie wolno lokalizować sklepów restauracji i zakładów przemysłowych a plany sytuacyjne i wygląd obiektów będą zatwierdzane przez niego i zarząd kurortu.

To ekologiczne i estetyczne uwrażliwienie Górskiego, o kilkadziesiąt lat poprzedzające odpowiednie akty prawne rządu i Sejmu PRL, przypominał był niedawno Mieczysław Kurzatkowski, który zresztą wcześniej, jako Wojewódzki Konserwator Zabytków, doprowadził do wpisania całego zespołu architektoniczno-krajoznawczego Nałęczowa do rejestru dóbr podlegających ochronie.

Takie problemy przejmowały również doktora Wacława Szczepińskiego.

Dokończenie na str. 8—9

Henryk Pająk

Dawno mnie nie czytaliście.
Wiem, wiem, mówiono:
skończył się.

Ale jak długo można żyć wspomnieniem?
W te niekończące się pluchy, w tym
zgrzyście sproszkowanej czerwonej magmy
pod powiekami, w zębach i sercu, gdy ktoś
tak nienawidzi zimna kurzu i chamstwa.

Paradoksalne: musiałem brać na sen
aby się budzić. Doszło do tego
że nie potrzebowałem luster
by widzieć swoją twarz i nędzę
jej słów. Wtedy jedyne co pozostaje
to milczeć. Ale jak. Jak było
milczeć?

Inne wiersze Henryka Pajaka na str. 7

Wyznania byłego więźnia Życie „tam”

OSIEMNASCIE lat to nawet w historii narodu może znaczyć wiele. Na przykład w przedwojennej Polsce prawie w ogóle bym nie pożył. A w więzieniu, w proporcji do wolności, wszystko liczy się podwójnie, a może nawet potrójnie. Wszystko ulega zwielokrotnieniu. Zwłaszcza w odniesieniu do zła. To, co dzieje się tutaj, tam odbija się jak w krzywym lustrze. A może jest odwrotnie?

Kiedy 4 listopada 1969 roku trafiłem za kratki, władzę w kraju sprawował Gomułka; w lutym 1988 roku, gdy wyszedłem na wolność, zauważyłem, że w miastach są już jego ulice. Tamtej jesieni miałem dwadzieścia dwa lata, dzisiejszej wiosny mam czterdzieści. Tak potoczyło się moje życie. Nieraz sam się sobie dziwię, że jeszcze jestem normalny, że zachowuję wciąż jakiś ładunek energii i optymizmu, że mam ochotę na życie. Czasami

potrafię się nawet uśmiechnąć, a czasami zażartować. Dziwię się także, że zachowałem marzenia.

O czym marzę?

O dobrej pracy, potem o mieszkaniu. Zwyczajnie. Mam przyjaciela i kilku znajomych w górach. Ten przyjaciel to mój były wychowawca z więzienia. On mi zaufał. Kiedy wychodziłem na przepustki (pięć razy pięciodniowe i trzy razy dziesięciodniowe, przy czym pierwsza po czterech latach i trzech miesiącach), zapraszali mnie wraz z żoną do siebie. Jest tam także dziewczyna. Już wie o wszystkim. (Oskarżono mnie o zabójstwo narzeczonej. To był proces poszlakowy. Dostałem dwadzieścia pięć lat). Te dziewczynki, naukowice najpierw

Dokończenie na str. 10

Za życiem - przeciw wojnie



Raisa Pawłowna Siplewicz (ZSRR), „Mgnienie wieczności”, autolitografia

9 MAJA w muzeum na Majdanku otwarto II Międzynarodowe Triennale Sztuk Przeciw Wojnie, odbywające się pod patronatem UNESCO i ministra Kultury i Sztuki PRL. Impreza prezentuje 403 grafiki i rysunki 190 artystów z 29 krajów świata. Oto pełna lista państw uczestniczących w Triennale: Argentyna, Austria, Belgia, Brazylia, Bulgaria, Cypr, Czechosłowacja, Egipt, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Japonia, Jugosławia, Kanada, Kolumbia, Kuba, Meksyk, Paragwaj, Polska, RFN i Berlin Zachodni, Rumunia, Szwecja, Urugwaj, USA, Wenezuela, Węgry, Związek Radziecki. Prace artystów z kilku innych krajów nie zostały zakwalifikowane na wystawę przez międzynarodowe jury, które obradowało pod przewodnictwem grafika belgijskiego, Gabriela Belzeonne'a.

Ta statystyka dowodzi, że Triennale stanowi największą międzynarodową imprezę artystyczną w dziejach kultury lubelskiej, będąc zarazem jedną z najbardziej okazałych prezentacji grafiki światowej w Polsce.

O zainteresowaniu wystawą decydują różne względy, na pewno fakt, że odbywa się ona w miejscu oznaczonym tragedią 360 tys. ludzi z kilkudziesięciu krajów, jacy stracili życie w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Majdanek.

Można jednak sądzić, że do udziału w Triennale skłania artystów także sam program ideowy wystawy, w którym czytamy: „celem imprezy jest wyrażenie przez artystów [...] swej niezgody na przemoc w rozwiązywaniu problemów współczesnego świata, różne postaci rasizmu i dyskryminacji politycznej oraz łamanie podstawowych praw człowieka i obywatela, określonych m. in. w dokumen-

tach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tym samym Triennale stanowi ma moralne poparcie dla wszystkich dążeń, które mają na uwadze ochronę suwerenności jednostki ludzkiej, jej praw niezbywalnych do tożsamości kulturowej i swobody wyborów ideologicznych, jakie z takich czy innych pozycji próbuje się dziś kwestionować w nielednym miejscu świata”.

Innym i chyba też ważnym powodem owego zainteresowania wystawą jest jej otwarta formuła stylistyczna, dopuszczająca wszelkie konwencje sposoby, techniki i maniery, uprawiane we współczesnej grafice, ale i takie prace, w których niezgoda na przemoc i wojnę wyraża się poprzez autorską apoteozę życia, jego urody i siły moralnej.

O zakwalifikowaniu dzieł na wystawę decydują przede wszystkim kryteria artystyczne i etyczne.

Można powiedzieć, że Triennale jest manifestacją sztuki „za życiem — przeciw wojnie”.

Oto laureaci tegorocznej wystawy: Michel von Overbeke — Holandia (Grand Prix), Manuel Estrada — Kolumbia, Tadeusz Hajnych — Polska, Robert Hammerstiel — Austria, Anne-Marie Heldev — Szwecja, Grzegorz Dobiesław Mazurek — Polska, Klas Schröter — RFN (Nagrody Równorzędnej), Igor Podolezak — ZSRR (Nagroda Specjalna) Nagrodę Honorową komitetu organizacyjnego II Triennale otrzymał Jifi Andeřle z Czechosłowacji, jeden z najwybitniejszych grafików europejskich, któremu jury premierowej wystawy (1985) przyznało Grand Prix.

(K)

Reprodukcje: Andrzej Polakowski



Oldřich Kulhanek (Czechosłowacja) „Male okno”, litografia



Anton Repnik (Jugosławia), „Mein gegen Stand zu den Waffen”, rys.



Jan Baczynski (Polska), „Fizys XVIII”, rys.

Nie wiedzą? Nie rozumieją?

W PEWIEN kwietniowy dzień natykam się w lubelskim hotelu „Unia” na grupkę młodych, czarniawych ludzi — dziewcząt i chłopców. Słyszę gardłowy dźwięk hebrajskiego języka. Kraj, z którego przybyli, nazywa się po hebrajsku — Erec Israel (Ziemia Izraela).

Podchodzę, zaczynam rozmawiać — z ich strony czujna, napięta uwaga. Nie jest to sytuacja zwyczajna, by w Polsce, gdzie prawie nie ma Żydów, ktoś rozpoczynał rozmowę w ich języku.

— Mi ata (kim jesteś)? — pytają. Bezpośredniość pytania powoduje, że trudno mi natychmiast zebrać myśli.

— Ani Jehudj polani (jestem polskim Żydem) — odpowiadam w końcu.

— Skąd znasz hebrajski?
— Byłem w Izraelu.
— Długo?

— Kilka lat.

— Uciekleś! — to nie pytanie, to stwierdzenie. W oczach ich tyleż zaciekawienia co pogardy. Oni mają swoją wiedzę zakodowaną w genach, są w maturalnej klasie, w tym roku idą do armii. Wiedzą że tam, dokąd za parę dni wrócą, nie jest łatwo żyć, ale wiedzą też to, czego ja dowiadywać się musiałem kilka lat — wiedza, kim są.

Rozmawiamy dalej, choć to, co między nami się odbywa, trudno właściwie nazwać rozmową. Wszystkie ich sądy są autorytatywne, trudno mi przebić się przez mur ich pewności. W pewnym momencie pada pytanie, jakby ponowny sprawdzian:

— Ata Jehudj (jesteś Żydem)?
— Ken (tak).
— Ale nie mieszkasz w Lublinie.
— Nie.
— Ilu Żydów mieszka w mieście, w którym ty mieszkasz?

— Jestem tam jedynym Żydem. — W ich oczach niedowierzanie. Jak można samemu mieszkać, obojętnie już gdzie zgoda nawet na to, że nie w Izraelu ale być jedynym Żydem w miasteczku — to się nie mieści w głowie, ta sytuacja dopiero ich zaciekawia.

— Tylko że ja jestem bardziej Polakiem niż Żydem — mówię. — Moja żydowskość jest raczej kwestią przypadku, urodziłem się Żydem bo matka i ojciec są Żydami ale wewnątrz, tak naprawdę jestem Polakiem.

Nie zrozumieli: jak można być i nie być Żydem, jak można mieszkać w kraju, który stał się grobowcem milionów ich współbraci. Nie zrozumieli, że tak jak można być chorym na kraj, który nazywa się Erec Israel, również można być chorym na kraj, który nazywa się Polin — Polska. I że jest to choroba nieuleczalna, miłość może być wzajemnością — ale miłość jako choroba.

— W porządku — mówią. — Jesteś, kim jesteś. W końcu człowiek wybiera. Trudno nam to zrozumieć, ale niech tam. Tylko że Polska nie jest krajem, w którym Żydzi mogą mieszkać przecież to kraj antysemitki...

Więc zaczynam od początku — od historii tolerancji, od pierwszych drukarzy hebrajskich w Rzeczypospolitej, od

dziesięciu najwspanialszych postaci żydostwa polskiego, od udziału Żydów w powstaniach o niepodległość Polski. Nie pomaga nie pomaga i już.

— To nieprawda — mówię — że Hitler zbudował obozy zagłady Żydów w Polsce dlatego że to kraj antysemitki, ale dlatego, że tu miał najbliższe, bo to centrum Europy, podbitej wtedy przez Rzeszę.

Nie pomaga. Więc próbuję z innej beczki:

— Polska — mówię — była jedynym podbitym przez Niemców krajem, gdzie za podanie Żydowi szklanki wody groziła śmierć. Nikt nie rodził się bohaterem; owszem, byli wśród Polaków szmalcownicy, ale byli także ci, co ratowali Million Polaków brało udział w ratowaniu Żydów.

Młodzi popatrzyli na mnie z niedowierzaniem.

— Wiemy, że tutaj stosunki między Polakami a Żydami są takie same jak u nas między Żydami a Arabami — powiedzieli.

Odszedłem z poszarzałą twarzą.

Aleksander Rozenfeld

OSUCHY
CMENTARZ

Miejscowi świadczą jak w ciemne noce
eś tam się dziewa
fioletem filuje
ciemnym złotem mruga

Słychać jęki salwy chlupot bagna
szepoty szczepek żelaza
butów chrobot

Kiedy nad ranem kur księżyc
wzraśni

cienie widmowe chyłkiem
pomykają do swoich
ciemni i pleśni

Hej
Co jest grane!
W którą stronę?
Dajcie znać!
Odpowiedzcie!

Gdzie jest róg!
Gdzie jest sznur!
Kiedy kur!

Odpowiedzcie!

Jeszcze się błąskasz szukając
przejść w tunelach listopadów
i grudniów
w całej tej polskiej jesieni

Są jak przecinki
w rozmowach o siewie pogodzie
czasem o prawdzie czy nadziei

Lecz coraz rzadziej wstrząsają łiciem
lę, mszą, ulicą, sumieniem

W zasadzie już nic
dzień w dzień to samo

Gdyby ktoś choć zawył
ktoś wrzasnął zdrada

Nie
Nikt

Po co

Co to da?

1972

O SZÓSTEJ

Gdy rano
wypełzną z tunelu dworca
szarzy z pajdami
wypychającymi kieszenie
parciani tacy
okielznani

gdą spode łba
zerkają w rumowisko ulicy
w oczodoły nadziei
w swoje własne twarze

to są jak ci
co się poddali i wychodzą
z opuszczonymi głowami

których za chwilę upchną
do dyskotek i powiozą
w parciań przyszłość

1982

APEL

książce telefonicznej

Sprasowano ich
ustawiono
czekają
latwo ich
wezwać
zawiadomić
poderwać
uświadomić
uciszyć

czekają
gotowi
drżący
skuteczni

pięć-cyfrowe duszeczki
przytupiają z zimna
w oświeceni numerów

PAMIĘTAJ

Spazmatyczny poranek zdrady
walenie do drzwi
szybko kałesony
i sweter
panowie do kogo
idziemy
beatko tatuś
z tymi panami
kwit z pralni
tatusiu
no już

Schody północ sąsiada
żrenice wizerów
placz dziecka
jelita posiecieli
stygająca pitama
dywan jak seraj
ziewanie areza
cisza
noc
nikogo
nie
sen
to był?

W ŚWIETLE
LAMP

Zal mi pani
powiedział ten pierwszy, patrząc
ponad jej głowę na szafę pancerną
ze smutkiem należnym żalowi.

Chcemy pani pomóc, wtrącił ten drugi.
Stał z boku, widział jej miękką profk,
kryształki potu na karku i naprawdę
czegoś mu było żal.

Tak między nami mówiąc to mąż
mógłby mieć wypadek samochodowy lub,
bo ja wiem, wpaść pod samochód,
rozmyślał ten pierwszy.

A dzieci spowodować pożar mieszkania,
przezalił się ten, któremu naprawdę było
trochę żal.

Jej ramiona skurczyły się, jakby
zapadły nad stołem niedopałków, nad
formularzem i długopisem.

Ujęła go, ten długopis, i zaczęła nieść,
powoli i długo, aż do tego miejsca, gdzie
czekał palec tego pierwszego. Jej ramiona
i plecy ugięły się pod tym ciężarem.

I nagle zaskakała, bezgłośnie, bez łez,
samymi ramionami.

Właśnie ruszały pierwsze autobusy.

WYSOKI SĄDZIE

Tej nocy wysoki sędzia
widziałem rodziców przed paleniskiem
matka szeptała modlitwy ojciec milczał
było tak cicho jak teraz i usłyszałem:
matko najświętsza żędy go tylko
nie zabili!

Czy oskarżony przyznaje się do winy

I matka w tym śnie upadła
twarzą do paleniska
nie więcej nie pamiętam

Oskarżony struga wariata
ogłaszam przerwę

kawki i symogalice bezgłośnie
zerwały się z gzymsów

czy one także
spodlały i milczą?

NIE SŁUCHAJ

Kiedy kopyto nocy sen ugnęła
śnij tułe tęcz muśliny łak podniebnych
gdzie Frasobliwy wsparty na podbródku światła
tak bardzo polski tak przeraźliwie zgrzedny

Nie słuchaj jak środkiem wysłnionej krajny
wraży posłaniec milczkiem ku tobie gna
jak stanie i załomocze do serca dna
cesarskie głosząc ukazy i kary bez winy

Z BIAŁYCH PLAM

Milknij, patrzy w nieokreślony punkt,
nigdzie, prawie oślepy od tego co widział.

Twarz w starczej egzemie,
oddech z papieru ściernego
i te oczy, dwie muliste sadzawki,
dwa doły kloaczne całej ludzkości.

Nie, proszę pana, ja nie uratowałem się.
nie ocalałem. Ja tylko przeżyłem. Ale
i tego za wiele. Tak. Za wiele.

Mówi cicho, z przerwami, z rezygnacją,
jak do kogoś kto niewiele z tego pojmie.
I znów patrzy w ten nieokreślony punkt,
nigdzie z dna mulistej sadzawki zwanej
ludzkością.
po części na mnie, na siebie, na was.

Kajet literacki

Cniopcy
z oddziałów

LUBELSCY literaci też mają
swoje kłopoty, o których ma-
to mówią powodowani wrodzo-
ną skromnością. Ostatnio jed-
nak spotkałem na ulicy bardzo fraso-
bliwie usposobionego koleżę
— Byłem w stolicy — oświadczył
gdy zaczęliśmy wymieniać informacje
oraz ploteczki. — Wiesz, jak tam nas
nazywają. Nie zgadniesz, bo i po co
zgadywać. „Chłopcy z oddziałów” Mo-
im zdaniem to całkiem niezłe określe-
nie, bo my, prowincjonalni literaci,
wciąż musimy przesycać się i za-
biegać jak debiutanci. Z centrali na
zebrania docierają do nas tylko dwani-
tarze od literatury, bardzo chętnie wy-
słuchują wszystkich skarg i zażaleń,
a potem wracają z równie rozważną
twarzą. U siebie, w Lublinie też je-
steśmy na swój sposób nieobecni. Oto
jeden fakt także znaczący. Remontowa-
ne na staroście kamieniczki przeznacz-
ają różnym firmom, różnym stowarzy-
szeniom, tylko nie literatom. Szybciej
już poczytny i skuteczny „Prusakolek”
będzie tam miał swój biurowiec czy
ośrodek kulturalno-gastronomiczny.
No cóż, prowincjonalny literat to brzmi
równie podejrzanie jak pisarz gmu-
ny nie mający pojęcia o ortografii. Ta-
ki pisarzyna nie ma nawet etatu, jak
najmarniejszy muzyk czy najmędziej-
szy aktor, i żyje, nie wiadomo z czego,
jak za przeproszeniem element. Po co
takim kamieniczka na staroście, w wy-
marzonej przez planistów kulturalnej
części miasta? Starczy im prywatny
domek nieżyjącego księdza literata,
który kiedyś przygarnął swoich kole-
gów. Podobno ten domek na krzywej
uliczce można wykupić od spadkobier-
ców i rozbudować, wypuścić przybudów-
kę w ogród. Po co literatom ogród? Liny
tam będą sadzić? Księdzu ogród po-
trzebny był w każdej okoliczności,
trudno kanonika wprost wyobrazić so-
bie bez ogrodu, ale chudy literat w
ogrodzie może się tylko zakochać albo
w inny sposób narozrabiać. Ale ja o-
sobicie nie narzekam, nie mam takie-
go usposobienia — mówił dalej dziel-
ny kolega — Dostałem przecież srebr-
ną odznakę zasłużonego dla miasta.
Fajnie jest! Byczo! Nawet się nacie-
szyć nie zdążyłem, bo znajomy budo-
wlaniec wyśmiał po prostu moją ra-
dość: — Człowieku! — tłumaczył mi.
— U nas wszyscy mają złote odznaki.
Innych nie chwytają. — I dlatego bu-
downictwo leży — dosłownie mu —
A literatura kwitnie? Nie wiem, nie
czytałem. Na szczęście nie muszę. Ale
jedno, do cholery, wiem: staru, grubu,
lisy i bezzebny literat nie może być
potraktowany jak małe piwko. Przy-
najmniej duże z pianką od czasu do
czasu mu się też należy.

Staliśmy tak na ulicy i rozmawia-
liśmy o swoich sprawach. Do kawiarni
nawet nie zajrzeliśmy, bo teraz tam
boheme tworzą uczniowie szkół śred-
nich, palący, pijący i wymyślający
swoim koleżankom od najgorszych.

Janusz Olczak



Rys. Andrzej Bronikowski

Oktawia

Aleksander Zaczynski

sferze kultury, od początku patronująca m.in. dorocznej, słynnej już w kraju imprezie muzycznej „Divertimento”, zaproponowanej w roku 1971 przez Adama Natanka, dyrektora Filharmonii Lubelskiej.

Bardziej radykalny stosunek do wielkich duchów Nałęczowa ma inny pan Tarka, rolnik Stanisław z pobliskich Strzelc. „Ciągłe tylko mówi się o Prusie i Zeromskim, albo o królu Stanisławie Augustie Poniatowskim, który rzekomo spożywał podwieczorek na dzisiejszej Poniatówce, wracając przez Nałęczów spod Kaniowa. A przecież ilu ludzi prostych tutaj działało z pożytkiem dla społeczeństwa, ilu takich oddało życie za Polskę!”

Pan Tarka od siedemnastu lat przemierza okolice, słucha zwierzeń wiekowych rolników, notuje, porządkuje informacje, pisze krótkie teksty i chwali sekretarza naleęczowskiego komitetu PZPR, Jerzego M. Soldka, który również interesuje się solą tej ziemi, zaliczając do owej substancji także inteligencję.

Pan Stanisław odwiedził już ponad 200 osób w gminie.

A poza tym zebrał imponującą kolekcję fotografii i widokówek Nałęczowa i okolic. Od dawna gromadzi numizmaty.

Ma lat 47, mieszka w murowanym domu, który zbudował, prowadzi gospodarstwo.

Nałęczów liczy 5000 mieszkańców. Dla wielu z nich teraźniejszość byłaby nieznośna bez pamięci o przeszłości. Czasami mieszkają w niej dość swobodnie i trudno np. ustalić, ile razy Bolesław Bierut przebywał w uzdrowisku. Pan Michał Tarka twierdzi, że tylko raz, przed wyjazdem do Moskwy, na XX Zjazd KPZR. Na tę okazję pośpiesznie wyremontowano przydomową willę „Uciecha”, położono dywanik asfaltowy na pobliskiej ulicy, ale prezydent sprawił zawód gospodarzom, bo skierował się gdzie indziej, do dawnego dworu, by uciąć sobie pogawędkę z chłopami. Kiedy zaś zobaczył zniszczony wtedy pałac Małachowskich, zdenerwował się bardzo i powiedział, co myśli o takim lekceważeniu tradycji narodowej. Na szczęście był pod ręką dr Wacław Szczepiński, który podczas pobytu Bieruta w Nałęczowie troszczył się o jego zdrowie.

Prezydencką wizytę w uzdrowisku upamiętnia nowa nazwa willi „Bierutówka”, przyjęta wolą ludu. Wyremontowana kosztem kilkudziesięciu milionów złotych, mieści dziś oddział sanatoryjny o 20 łóżkach, należący do PPUN. Piękny to budynek, zróżnicowany w formie, bielutki...

Dyrektor uzdrowiska, pan Edward Wiśniewski, chętnie wyłożyłby kolejne miliony na remont, gdyby tylko znalazł się w Nałęczowie obiekt zdolny pomieścić 50 łóżek. Wysłuszony ze spół: Stare Łazienki i sanatorium nr 1 corocznie jest latany i odwieziany, tylko tyle, bo remont kapitalny zmusiłby do „wylęczenia ponad 180 łóżek”, które tam stoją. Trzeba będzie budować nowy szpital kardiologiczny na 170 łóżek, z pełnym zapleczem diagnostyczno-zabiegowym. Opracowano już koncepcję programowo-przestrzenną inwestycji.

Dyrektor chwali się, i słusznie, piękną nową palmiarnią, w której urządza się też wystawy plastyczne, np. rysunków z ogólnopolskiego konkursu im. Elwiro Andriollego, artysty pochodzącego z miejscowym cmentarzu — niestety, zaniechany nieco w swej części najstarszej, oznaczonej mogiłami powstańców styczniowych, artystów, niektórych właścicieli dóbr naleęczowskich.

Dyrektor Wiśniewski przypomina, że biblioteka uzdrowiska liczy 11 tys. książek, a palacowa sala balowa udostępniana jest bezpłatnie na imprezy kulturalne, organizowane przez sanatoria i instytucje spoza przedsiębiorstwa...

Osoby, z którymi rozmawiałem, wydały mi się przejęte sprawami Nałęczowa i świadome funkcjonalnej tożsamości miasta i uzdrowiska.

Tymczasem między sanatorium rolników a byłym dworem inżyniera Górskiego, który ma być wyremontowany, przeleci ponoć tzw. łącznik, rozciągający (?) stojące na linii drzewa.

Jeśli do tego dojdzie, Górski przewróci się w grobie.

Ale ja nie wierzę, że taka operacja zostanie przeprowadzona w miejscu, gdzie niedługo spacerował Zeromski, a Prus — niedaleko — przybrał postać pomnika.

Szanujmy pamięć Zeromskiego. No i oczywiście Prusa!

Ireneusz J. Kamiński

W ROCZNICĘ śmierci Anny Zeromskiej napisałem o niej wspomnienie, które opublikowało „Życie Literackie”.

Wkrótce potem otrzymałem list od pewnej pani z wymówkami, że chwalił Annę, a zapomniałem o Oktawii, pierwszej żonie pisarza. Cytuję urywki: „Czy Pan czasem nie przesadził w zachwytach nad panią A. Z., kreując ją na anioła, emanację niewinności — niemal męczennicę!... To ona właśnie ta pierwsza (Oktawia) towarzyszyła pisarzowi w jego najcięższym okresie życia, kiedy nie był jeszcze sławnym i kiedy — o ile mi wiadomo — utrzymywała go, prowadząc pensjonat w Nałęczowie, gdy on pisał sobie wolny od trosk — w zacisznym pawilonie... Nie wiem, czy oczarowany panią Anną, zainteresował się Pan, jakie były losy pierwszej żony Zeromskiego, kiedy i gdzie w jakich okolicznościach umarła... Warto byłoby i jej poświęcić wspomnienie, może już nie tak pełne zachwyty — może była trochę mniej uroczą, ale myślę, że godna wspomnienia — i to bardziej niż ta druga...”

Nadszedł stosowny czas i okazja, aby wspomnieć pierwszą żonę Stefana Zeromskiego, bo właśnie w ubiegłym roku, który nazwać można jubileuszowym minęła 125 rocznica jej urodzin i 95 rocznica ślubu, a w bieżącym roku minie 60 lat od jej śmierci. Dobrze się stało, że Czytelniczka upomniała się o pamięć dla Oktawii; od wielu lat nie znalazłem w prasie żadnego o niej wspomnienia.

Stefan Zeromski żył w ciągłym dramacie swego losu, w niedostatku, w osamotnieniu, w zmaganiu się z wiecznymi chorobami, trawiony twórczą pasją pisarstwa, które rozpoczął od wczesnej młodości systematycznym prowadzeniem pamiętników. Sieroce dzieciństwo, bezdomna młodość, niedokończona wykształcenie, tułaczka po pańskich dworach w charakterze guwernera szlacheckich dzieci — oto etapy jego dotychczasowego życia, opisane w „Dziennikach”. W Nałęczowie poznał wdowę, Oktawię Rodkiewiczówną, z którą się żenił. Stała się ona i wierną żoną, i opiekunką, i pomocnicą w jego dalszym twórczym życiu. Dzięki jej zapobiegliwości i pomocy materialnej — Zeromski może wreszcie spokojnie rozwijać swój talent literacki.

We wstępie do książki „Listy do Stefana Zeromskiego” Zdzisław Jerzy Adamczyk pisze: „Postać Oktawii Zeromskiej budzi zainteresowanie tak historyków literatury, jak i szerokiego ogółu czytającej publiczności. Jest ona niewątpliwie jedną z najpopularniejszych literackich żon, życie jej obrosło pewną legendą, doczekała się bogatej „literatury przedmiotu”, jakiej mógłby jej pozazdrościć nie jeden twórca... Przez całe życie czynna i pełna inicjatywy, nie chowająca się w cieniu mążowskiej sławy, prowadząca w imieniu męża korespondencje, pertraktująca z wydawcami, aktywna zawodowo [administrowała naleęczowskim zakładem leczniczym, a później była jego kasjerką, wreszcie prowadziła własny pensjonat — A. Z.] i uczestnicząca w rozmaitych przedsięwzięciach społeczno-oświatowych, miała licznych znajomych i przyjaciół, zaskarbiła sobie zwłaszcza w Nałęczowie, wiele sympatii i uznanie na własny rachunek”.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa całe strony w książce „O Stefanie Zeromskim” poświęciła Oktawii i z wielką sympatią maluje jej sylwetkę, pisząc m.in.: „Miała kilkuletnią

córeczkę, a czarna wdowa suknia, nerwowość, pobudliwość — przy niewątpliwie urodzie, inteligencji i dobroci — dodawała jej uroku”. Wielbicielem i wielkim przyjacielem Oktawii był, znacznie od niej starszy, Bolesław Prus, który sprawował opiekę nad jej córeczką po śmierci pierwszego męża — Rodkiewicza.

Urodziła się w Petersburgu 4 grudnia 1862 r. jako trzecie dziecko dra Ignacego Radziwiłłowicza i Oktawii z Medunieckich. Jej ojciec, jeden z bardziej wziętych lekarzy petersburskich, był ponoć ulubieńcem i nadwornym ginekologiem carowej Eleony Pawłowny. Matka wyróżniała się niepospolitą urodą, po śmierci męża wyszła po raz drugi za mąż za dra Konrada Chmielewskiego i przenieśli się z całą rodziną do Warszawy. Dom rodzinny Oktawii był jednym z ważniejszych ośrodków życia towarzyskiego i umysłowego stolicy. Bywali tutaj Adolf Dygasiński, Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Antoni Sygletyński, Aleksander Świętochowski, Stanisław Witkiewicz oraz inne osobistości ze świata literacko-artystycznego. W takiej to atmosferze wysokiej kultury wyrastała Oktawia.

Jak już wspominałem, Oktawię Zeromską interesowali się historycy literatury, a jednym z nich był profesor Wacław Borowy, który odwiedził ją w Nałęczowie kilka razy. O interesujących rozmowach, opublikowanych w „Rozprawach i szkicach o Zeromskim”, Borowy pisze m.in. „Odwiedziłem ją po raz pierwszy 18 marca 1927 r. Wyglądała już na staruszkę, widome jednak były jeszcze ślady dawnej urody. Drobna, a tęga, o wyrazie twarzy dobrym i inteligentnym, bardzo ruchliwa... Główna teraz jej myśl to gromadzenie wszelkiego rodzaju pamiętek w „Chacie” naleęczowskiej, z której chce zrobić muzeum Zeromskiego. Mówiąc o Zeromskim, akcentuje ciągle jego dobroć, miękkość, uczynność, ofiarność; w zapale nie powstrzymuje się nawet przed słowem „chrystusowość”.

Rozmowa ta odbyła się w dwa lata po śmierci Zeromskiego, ale gdy jeszcze żył i odszedł od Oktawii dla Anny Zawadzkiej, nie chowała do niego w sercu nienawiści, co — jak na zdradzoną żonę — uznać należy za wielkoduszny i piękny rys jej charakteru. W liście do prof. Borowego z 4 czerwca 1927 r. pisze m.in.: „Uważając mego męża Stefana Zeromskiego, gdy został sławnym — za własność Narodu — nigdy siebie nie uważałam nawet w prawie decydowania o czymkolwiek, co jest związane z NIM, z tym dla mnie najdroższym na świecie i jedynym z najukochańszych autorów”.

W drugiej rozmowie (5 sierpnia 1927 r.) prof. Borowy widzi panią Oktawię „rozegzaltowaną”: „Kocha wszystkich i kocha m.in. »Annę« i »Monikę«. Do męża swego nie ma żadnego żalu i na cały ostatni okres jego życia ma wytłumaczenie...” — w tym miejscu należy wspomnieć, że egzaltacja Oktawii miała swoje źródło w jej psychicznych niedomaganiach, które objawiały się nieraz w nerwowej pobudliwości. Według znanego psychiatry, prof. Kazimierza Dąbrowskiego, ludzie dotknięci „chorobą” psychiczną (nerwicową) są bardziej wrażliwi, bogatsi wewnętrznie i duchowo.

Trzecia rozmowa (23 września 1927 r.): „Wedle projektu pani Oktawii, powinien tam [w mauzoleum — A. Z.] — obok Adasia — spocząć Zeromski, a później — po najdłuższym życiu — Monika. Co innego żony:

ani jedna, ani druga nie może pretendować do tego miejsca”.

Po raz szósty i ostatni, na dwa miesiące przed śmiercią Oktawii, jeszcze raz odwiedził ją prof. Borowy: „Pani Oktawia mówiła dużo, a najwięcej o uroczystościach w Nałęczowie, w związku z postawieniem pomnika Zeromskiego. Z radością szczególną wspominała o tym, że »Anna« i »Monika« obiecały na tę uroczystość pojechać. Wiadomość tę uważała za uzasadnienie radosnego przekonania, że wszelkie nierówności zostaną wygładzone i w końcu za zgodą wszystkich bliskich — Zeromski zostanie pochowany pod kaplicą naleęczowską. Z ciepłym zainteresowaniem powtarzała wiadomości uzyskane od znajomych o »Monice«, a mówiąc o »Annie«, potępiała tych, co nieprzychylnie ją sędzili...”

Pisząc wspomnienie o Annie Zeromskiej w „Życiu Literackim” — nawiązałem do Marii Kasprowiczowej, z którą się przyjaźniłem. Porównywałem obie panie i nie znalazłem żadnej analogii w ich sylwetkach fizyczno-duchowych. Natomiast u Oktawii znajduję wiele podobieństw z panią Marią Kasprowiczową — tak jak Kasprowiczowa — stała się „strażniczką” pamięci o swym mężu, organizując muzeum w naleęczowskiej „Chacie”; troszczyła się i marzyła o tym, aby Zeromski (tak jak Kasprowicz na Harendzie) spoczął w mauzoleum obok syna Adasia. Był czas, że i ja przejąłem się tą ideą wiecznego spoczynku Stefana Zeromskiego w grobowcu naleęczowskim. Zaczęłam pisać do prasy, a także wystąpiłam z pismem do ówczesnego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, skąd otrzymałem odpowiedź, że niestety, wobec sprzeciwu rodziny z drugiego małżeństwa, sprowadzenie zwłok Zeromskiego z Warszawy do Nałęczowa jest niemożliwe.

Jeszcze jedno porównanie Nałęczowa z zakopiańską Harendą. Jak wiadomo — na Harendzie, w grobowcu-mauzoleum, przy domu Jana Kasprowicza, został pochowany poeta, co jest unikatem w skali krajowej, żaden bowiem twórca w Polsce nie ma takiego osobistego przydomowego cmentarza, z wyjątkiem mauzoleum naleęczowskiego. Wzniesione ono zostało dla syna Adasia na parceli zwanej „Morga”, obok „Chaty”, w której Zeromski pracował i gdzie chciał spocząć na zawsze.

Stefan Zeromski po odejściu od Oktawii utrzymywał z nią przez pewien czas kontakt korespondencyjny, zwierając się ze spraw swej twórczości i sukcesów pisarskich; korespondencja ta zerwała się z chwilą, gdy Oktawia stanowczo i bezapelacyjnie odmówiła zgody na rozwód. Myślę, że to nieustępliwe i beznadziejnie trwałe utrzymywanie przy zeromskim — mimo, że odszedł od niej; bezpowrotnie — miało swoją przyczynę w tym, iż wbrew wszystkiemu nie chciała go „formalnie” stracić, aby pozostać aż do śmierci Zeromską.

Wierna do końca swojemu mężowi — Oktawia Zeromska zmarła 10 lipca 1928 r. w wieku 66 lat i pochowana została w Nałęczowie. Swoją godną postawą, szlachetnością i miłością do ukochanego pisarza — zasłużyła sobie na pamięć potomnych.

kamena 9

Życie „tam”

— zakończenie ze str. 1

powiedział o mnie mój przyjaciel, potem ja coś dopowiedziałem i tak dowiedziało się etapami. Nadal chce ze mną rozmawiać. Może w tym jest moja szansa? Zwyczajnie. Ja bardzo lubię dzieci. I bardzo lubię góry. O wiele bardziej niż morze. W górach mógłbym zarabiać nawet dziesięć tysięcy, tyle tylko tam być. Zaraz po wyjściu właśnie tam pojechałem, i w dwa tygodnie odzyskałem kilka lat z bagażu tamtych osiemnastu straconych.

Czy ten kraj się zmienił?

Myślę, że tak. Kiedy miałem wychodzić, koledzy z celi mówili mi: „Będziesz dziki, za wszystkim będziesz się oglądał”. Ale ja czułem się normalnie. To, co mnie uderzyło, to jakby bogactwo. Jest więcej samochodów, więcej towarów w sklepach, a ludzie są o wiele lepiej ubrani. Zawsze lubiłem mówić to, co myślę. Zawsze interesowała mnie prawda, choć wiem, że prawda subiektywna nigdy nie może być obiektywna. Kiedy rozmawiam z ludźmi, mówię różne rzeczy. Raz mądrze, raz głupie — jak to w życiu. Ale za to, co teraz się mówi, w latach sześćdziesiątych można by trafić za kratki. Tak, teraz można wnieść powieści. Tylko że, choć ludzie są zamożniejsi i bardziej zadbani, i mogą wiele powiedzieć, to są także mniej weseli niż dawniej. Rządziej się śmieją. Czy dla luksusu sprzedałi zwyczajną radość życia?

Chociaż jestem człowiekiem mało wykształconym (skończyłem tylko „podstawówkę”), przeszedłem dobrą szkołę życia. Miałem w niej było teorii, za to dużo praktyki. Nie zawsze uczyłem się tego, czego chciałem się uczyć. Program edukacji wyznaczył za mnie los. Z tego, co przeżyłem, i z tego, co widziałem, można by ulepić materiał na małą książeczkę. A ja wierzę w książki. Gdyby nie one, nie byłoby mnie tutaj. Gdyby nie książki, dla wielu więzienie byłoby tylko fabryką psychopatów. Myślę, że właśnie one i to, co robiłem sam, pomogły mi przetrwać. Książki to wielka sprawa.

Co czytałem?

Bardzo wiele. Na przykład Hirschfelda „Historia jednego życia”. To o Żydach i ich losie. Lubię takie książki, wyrastające z tego, co się wydarzyło naprawdę. Żydzi to ciekawy naród. Wydalili tylu myślicieli. A na drugim miejscu postawiłbym Ormiana. Ich historię także czytałem. I biografię Gandhiego. Dobro przeciw złu. Harmonia życia, ale tu, na ziemi. Taka religia bardziej mi odpowiada niż chrześcijańska. Chrześcijaństwo to zbiór iluzji. Czytałem także dużo o szczurach, bo szczury są jak ludzie, a czasami mają może nawet więcej rozsądku. Szczury wędrują stadami, a kiedy napotkają jakąś wieś, wysylają czujkę. Znaleziono jędrzenie próbuje zawsze jeden z nich. Jeśli padnie, inne poszukują dalej, jeśli przeżyje, zostawia naokoło moc. Wtedy reszta wie, że tu może się pożywić. Tak jeden poświęca się dla wszystkich.

Ale w więzieniu, z ludźmi, jest inaczej. Miewałem konflikty w celi. Cela to przecież klatka. Panuje w niej ciągłe napięcie. Im więcej zwierząt w klatce, tym bardziej się gryzą. W więzieniu, by przetrwać, tworzy się grupy i podgrupy. Ludzie organizują rzeczywiste i wydumane podziały. Wie pan, „gici”, „grypszerzy” — oni są najbardziej podatni na zrzeszanie się. Ale tu nie chodzi o zbiorową solidarność, zawsze chodzi o jakiegoś cwaniaka, który rwie się do rządu. Dla mnie cwaniactwo to nieuczciwość. Im człowiek bardziej tępy, tym łatwiej daje sobą powodować. „Futruje” potem swojego wodza herbatką, chlebem i papierosami. Ja byłem „frajerem”. Zawsze powtarzałem: „Nikt jeszcze nie zrobił kariery w więzieniu. Jestem bezpartyjny. Jeśli chcecie, sami łączcie się w związki”. Ale niezależnemu jest ciężko. Tam nie lubią indywidualistów, nie lubią takich, co stoją z boku. Zawsze łatwiej jest trzymać albo z administracją, albo ze złodziejami. Z boku stoi tylko „kapuś”. A ja nie chciałem być takim. Upierałem się przy samotności. Dzięki temu uzyskałem kilka razy szansę na izolatkę. W czasie jednego z takich okresów zacząłem pisać.

Co pisałem?

Wrocławu wychodzi taka gazeta „Słowo Polskie”. Co czwartek pojawia się tam dodatek „Słowo Studenckie”. Kiedyś ogłosili w nim konkurs na opowiadanie. Pokazali kilka fotografii i prosili, żeby je fabularnie polączył. Miałem fajnego wychowawcę. Pomógł mi wysłać to opowiadanie. Na nagrodę nie miałem szans, ja — prosty człowiek i tytuł wykształconych studentów. Ale odpowiedź dostałem. Odpisałem, że opowiadanie nie jest złe i że powinienem próbować dalej. Tylko, że odpowiedź przyszła już oficjalną pocztą i w więzieniu zaczął się rwetes. Bo tam nie wolno tak sobie tworzyć. To pismo od redakcji poszło do sejfów. Mieli mi je oddać, gdy będę wychodził. Ale jeszcze go nie odebrałem. Wiersze pisałem dalej. Może tak bronitem się przed utratą psychicznej równowagi. Zna pan to: „Nie wiem, co to poezja, nie wiem, po co i na co? Wiem, że czasami ludzie czytają wiersze i płaczą. A potem sami piszą, mozolnie i nieudolnie, by od dławiącej ciszy drgające serce uwolnić”. Brońlewski. Ja nie lubię o tym mówić.

Niech pan nie myśli, że więzienie to świetlica, wczasy z książką przy boku. To twarde życie. Widziałem, jak facet sznuruje się pasami bezpieczeństwa. Pod krzyż podkłada mu się takie duże mydło

i dociska więzy. Po chwili nie może już oddychać. A rozrywki w celi? Wndetty i „prostowania”? Tam nie liczy się, jaki kto ma wyrok. Liczy się tylko, kto jest kim. Sam zdjąłem kiedyś ze sznura jednego chłopaka. Miał zaledwie dwa lata do odsiedzenia. Po roku krzychał przez sen: „Mamusiu, zabierz mnie stąd”. Dobrze, że zdążyliśmy go odratować. Ślabi nie mają tam szans. Ale nie myślę o sile fizycznej. Ona jest ważna, ale nie najważniejsza. Psychika — to się liczy. Ślabi szybko dostają „świra”.

Kto to jest „słaby”?

To taki człowiek, który łatwo poddaje się wpływom innych i który ma chwiejny charakter, albo w ogóle go nie ma.

Więzienia są różne.

Ja siedziałem w trzech. Jak na mój wyrok — niemało. Są takie, gdzie przed amnestią przywoziło się dwustu, trzystu więźniów z innych miejsc, żeby pokazać, że i z nich także ktoś wychodzi na wolność. Wtedy w celi zamiast czterech, siedziało po sześciu ludzi. Dwoch spało „na siłku”. To taki worek ze słomą. Cele są małe: jeden krok w przód i jeden w tył. Wiele zakładów nie ma jeszcze kanalizacji. W kącie stoi więc, jak za dawnych lat, blaszany kibel. Taka cela to spalnica, sr...lnia i jadalnia. Dlatego niektóre więzienia wydają się sanatorium po tym, co się przeszło w innych.

Ostatnio sporo się zmieniło. Ja nie gram o jakąś stawkę, po prostu sądzę, że trzeba mówić prawdę; to, co dobre, nazywać dobrym, a to, co złe — złym. Po buntach z lat 80—81 wiele się zmieniło.



Rys. Mariusz Rybicki

Zamiast pół godziny spaceru jest teraz godzina, dłuższe są także widzenia, a w ciągu roku można otrzymać sześć paczek zamiast trzech. Kiedyś dawano czarny, gliniasty chleb, po którym więźniowie chorowali, dziś „fasuje” się normalny, wolnościowy. Dawniej mógł funkcjonariusz uderzyć więźnia za byle co. Dzisiaj potrzebny jest do tego świadek. Coraz więcej pojawiło się także młodych, porządnymi wychowawców. Bo więzienie jest jakby odbiciem życia tu, na wolności. Już o tym mówił mi. Jeśli tu jest głodno, tam jest po trzykroć głodniej, jeśli tu jest więcej luzu, pewne złagodzenie pojawia się i tam. To takie naczynia połączone.

Co uważam za złe w polskim więziennictwie?

Przede wszystkim regulamin; zupełnie nieadekwatny do wymogów życia. Obowiązuje od kwietnia 1974 roku. Od tego czasu nastąpiły w nim pewne zmiany, ale wciąż jeszcze czeka na prawdziwe zreformowanie. I to, że w więzieniu nie można rozwijać osobowości. Jest dobrze, jeśli ktoś w zakładzie stoi w miejscu. Większość bowiem się cofa. Trzeba ogromnej odporności, żeby zachować swoje „ja”, albo pomocy ze strony zakładu. Najczęściej człowiek daje się ogłupić, ponieść fali grypsery, zatracić indywidualność. Tam bardziej przypomina się numer niż człowieka. Ale są i tacy, co się nie dają. Dlatego nie wszystkich skazanych można traktować tak samo. A resocjalizacja to po prostu bujda. Najczęściej ludzie wychodzą jeszcze bardziej ułomni, po prostu ludzkie wraki. Tak zamyka się to błędne koło.

pozytyw?

Koncerty rockowe były dobre. Administracja więzienna długo się wahała. „Po co ryzykować? — mówili. — Czy można przewidzieć, jak oni się zachowają?”. W końcu zaufali jednak skazanym. Wychowawcy typowali nas na listy. To było święto. Przyjechała Urszula i Papa Dance, Universe i grupa Moskwa z Jarocina. Dla nich to też było przeżycie. Pierwszy raz grali w więzieniu. I wszyscy występowali za darmo. W czasie koncertu puścili w obieg taki zeszyt. Każdy mógł tam zapisać pytania. Ja także zadane pytanie Urszuli: „Jak pani to robi, że jest pani taka nieduża, a w telewizji wygląda pani na wysoką?” Różne były te pytania, mądre i głupie — jak to w życiu. Odpowiedziały, że tam jest inna sceneria i tak dalej. Te koncerty to była duża sprawa.

Sprawiedliwość?

Czasami mam do niej żal. Pan też wie, że ma różne oblicza. Miałem na przykład uraz do was, dziennikarzy. Nawet adwokat powiedział mi przed procesem: „Prasa już pana skazała”. Oglądałem potem te wycinki. Dzisiaj to nie mogłoby się zdarzyć, ale wówczas? Choć nic mi jeszcze nie udowodniono, już podano moje nazwisko i imię, i wszystkie dane. A ton tych komentarzy wskazywał wyraźnie — jestem winien. Czy pan wie, jaką to tworzy presję na sąd, na opinię publiczną, na świadków. Tymczasem sam ojciec tamtej dziewczyny powiedział mojemu ojcu: „Jeśli tam był, to życzył mu wszystkiego najgorszego, ale jeśli nie, to mu serdecznie współczuję”. Tak to było. Tego procesu nie zapomniałem i nie zapomnę nigdy. Nie chcę do tego wracać.

Seks w więzieniu?

(Zażenowanie). Homoseksualizm? Nie, to się zdarza bardzo rzadko i prawie zawsze przy małych wyrokach. Jeśli jakiś chłopak da się podporządkować, robi to, co mu każą, mogą go wykorzystywać i tak. Ale to jest karane z całą surowością.

Mój pierwszy dzień wolności?

To był piękny dzień. Wyszedłem w nocy z 12-tego na 13-tego lutego. Nie mogłem się go doczekać. Najtrudniej było mi właśnie na początku i na samym końcu. Srodek przebiegł względnie szybko. Ciężko robi się wtedy, gdy człowiek na coś czeka. To był fajny dzień. Zobaczyłem góry i spotkałem przyjaciół. Mam taką naturę, że im mocniej dostanę w tyłek, tym bardziej się krystalizuję. Teraz jestem chyba o wiele mądrzejszym człowiekiem, choć może jeszcze bardziej nerwowym. Lubię spokój. Jestem zmęczony tym, co przeszedłem. Czuję się wypalony wewnątrz. Może dlatego na kilka miesięcy przed wyjściem zarzuciłem pisanie.

W życiu zawsze czymś się za coś płaci. Niech pan pomyśli o więziennych świętach. Ja przetyłem ich dziewiętnaście. W takie dni ci, którzy ztratili już większość swego człowieczeństwa, chociaż i poświastują e o nioy nie. Ale gdy usiądą w kącie... Na to nie ma mocnych. A jednak, gdybym teraz znalazł się w atmosferze świątecznej, może już bym jej nie poczuł. Może zdążyłem już zgubić zdolność do takich wzruszeń.

Po dwóch tygodniach górskich wakacji przyjechałem do Lublina. Mieszka tu moja siostra i do ojca mam niedaleko. Ojciec zawsze był ze mną. Bardzo mi pomagał. Teraz też odwiedza mnie co niedzielę. Zatrzymałem się w rodzinie, ale po dwóch tygodniach odszedłem. Nie chciałem, żeby z mojego powodu coś się między nimi popsulo. Znalazłem pracę z hotelem i zacząłem żyć. Ale już w tej pierwszej pracy, próbowałem mnie wykiwać. Dyrektor i kierownik znali moją przeszłość. Wkrótce znali ją wszyscy. To była ciężka robota przy betonie, a w więzieniu nikt jeszcze nie nabral zdrowia. Zatrudnili mnie na dwutygodniową „próbę”. Płacili grosze za to, za co inni brali tysiące. Robiłem za naiwniaka. Ta „próba” zaczęła się przedłużać. Po stanowiłem więc odejść. Teraz mam obiecany pracę u „prywaciarza”. I szukam stancji. Jeśli nie z tego nie wyjdzie, wyjadę z Lublina. Nie lubię tego miasta. Zawsze będzie mi się kojarzyło z tym, co się stało. Nie mogę, nie potrafię oderwać się od tego procesu. Nigdy chyba nie będę zdolny odrzucić tego balastu z mojego życia. Góry — tak; góry widzę jako swoją przystań. A jedyną sprawą, jakiej żałowałbym opuszczając Lublin, to kontakt z moim kuratorem. To wspaniała kobieta. Ona mi zaufała.

O pomocy byłym więźniom

bardzo dużo się mówi. Tymczasem dobrze, jeśli ktoś na koniec nie dostaje kopniaka. Choć muszę ucciwie przyznać, że mnie potrakowano dość dobrze. Zapytali, czy nie potrzebuję opieki — materialnej i moralnej. Odmówiłem. Miałem siedem tysięcy z oszczędności za moją pracę. Z moralnością każdy zaś musi sobie radzić sam. W naszym społeczeństwie jest zbyt mała wiedza o więzieniach i zakładach karnych. Panuje powszechnie przekonanie, że jak kogoś zamknęli, to na to zasłużył i dobrze mu tak. Niewielu ludzi interesuje się tym, co dalej. Jak tam jest i co będzie z tymi ludźmi potem. A więzień to przecież także człowiek. Trudno społeczeństwu zrozumieć, że człowiekiem jest także milicjant i prokurator, i sędzia. Tylko człowiekiem. W gazetach pisze się o sprawach oczywistych, jasnych, i już do końca określonych. Bardzo rzadko walczą się o coś, co jeszcze się decyduje, co nie zostało zamknięte, co wymaga własnej, odważnej opinii. Dużo czytałem ostatnio, choćby o Stalinie. Teraz wiemy już wszystko. Ja nie interesuję się polityką. W więzieniu traci ona sens. Podejrzewam, że zawsze traci ona sens, gdy człowiek musi walczyć o podstawowe potrzeby lub gdy nie musi w ogóle o nich myśleć.

O czym się mówi w więzieniu?

Przede wszystkim o wolności. I o zwykłych „duprelach”, jak w normalnym życiu. Tylko niektóre tematy wracają może częściej. Ale są tam i tacy, którzy mówią niewiele. W więzieniu można spotkać bardzo różnych ludzi. Także i takich, którzy dla paczki herbaty udusiłyby własną matkę. To tacy kryminaliści w kryminale. Ludzie anormalni, odczłowieczeni. Czy pan wie, że oni potrafili zażądać zapłaty nawet za chleb. Jeśli ktoś poprosi ich o kromkę, chcą za to papierosa albo coś innego. Wszystko zależy więc od człowieka.

Codziennie bytowanie?

Nie ma w tym nic niezwykłego. Pobudka jest o piątej rano, potem mycie, spanie łózek i sprzątnięcie celi. Apel, śniadanie i wymarsz do pracy. Po ośmiu godzinach powrót, obiad i spacer. A potem zajęcia własne (telewizja, świetlica). Potem apel wieczorny i o 21-szej cisza. Częściej można teraz oglądać telewizję. W latach siedemdziesiątych wszystko kończyło się na dzienniku. To były w ogóle złe lata w więziennictwie. Teraz można czasami obejrzeć wieczorny film.

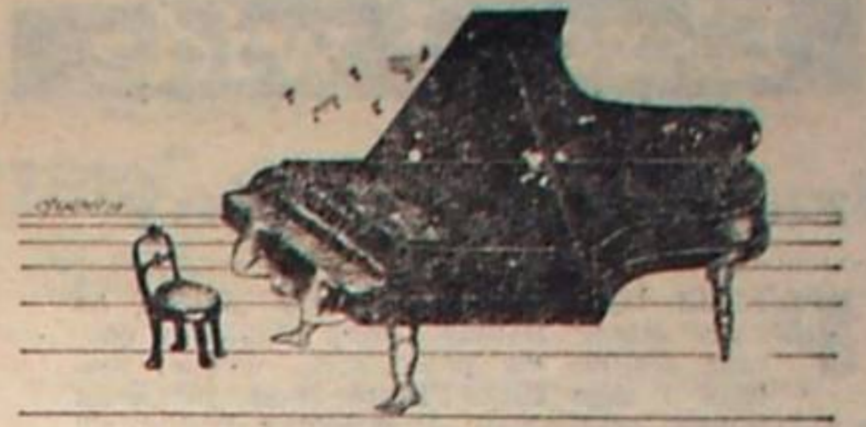
Dlaczego zgodziłem się z panem rozmawiać? Tuż przed wyjściem na wolność przyszedł do mnie dziennikarz z „Prawa i Życia”. Wie pan, o co mnie spytali? „Co wesolego przeżył pan w więzieniu? Wie pan, tak żeby czytelnicy mogli się posmiać”. Prosił bym przypomnieć sobie zabawne historyjki z tych osiemnastu lat. Dlatego długo się wahałem, czy z panem rozmawiać, ale prosiła mnie o to moja kurator, a dla niej zrobiłbym wiele. Wiem też, że dziennikarze, tak jak inni ludzie, są różni; dobrzy i źli, uczciwi i szukający dobrze brzmiącej nieprawdy.

Postanowiłem zaryzykować.

Spisał: Wiesław Horabik

Spojrzenie zza klawiatury

Rozmowa z Jackiem Abramowiczem



Rys. Jan Surma

— Miałeś ponad trzydzieści lat od czasu, kiedy zdecydowałeś się na zawód muzyka, związanego przede wszystkim z estradą i kabaretem. Grasz na fortepianie, akompaniujesz piosenkarzom, komponujesz. Masz za sobą pracę w zadymionych kawiarniach, w ciasnych salkach kabaretowych, w estradowych zespołach tłukących się po prowincji. A przecież ty studiowałeś prawo! Dzisiaj mógłbyś być sędzią, prokuratorem lub co bardziej lukratywne — adwokatem z długoletnią praktyką, z liczną klientelą. Tak jak wielu dawnych kolegów, muzykujących studentów, z którymi zaczynałeś. Nie żal ci, że wzięłeś kiedyś rozbrat ze studiami prawniczymi? Uważasz, że dobrze zrobiłeś?

— Uważam, że tak. Przecież powinno się w końcu robić w życiu to, co naprawdę człowieka pasjonuje. A nie z upartym „rozsądkiem” brnąć w coś, na co się straciło ochotę co ma być jakoby dla twojego „dobra” w istocie zaś jest spełnianiem ambicji rodziny lub bliskiej osoby. Ja najlepiej czuję się przy klawiaturze. W prawniczej tożde byłoby mi za ciasno i za gorąco. Pewnie już to przeczuwałem, gdy podczas studiów na UMCS w połowie lat pięćdziesiątych zakładałem swój pierwszy zespół muzyczny.

— Zespół „Bemol”?

— Jeszcze nie „Bemol”. To była grupka kolegów lubiących muzykę. Grałismy muzykę rozrywkową i taneczną na okolicznościowych akademiach i zabawach studenckich. Przyjmowaliśmy do zespołu każdego, kto chciał i potrafił grać.

— Grałiscie bardziej dla przyjemności czy dla chleba?

— Dla chleba także. Stawki mieliśmy następujące: ja jako kierownik zespołu dostawałem 150 złotych za całą noc ciężkiej pracy, a pozostali — po sto złotych. Ale jak mam dzisiaj przeliczyć tę kwotę? Na dzinsy z Turcji? Na dolary po czarnorynkowej cenie? Na młodzieżową satysfakcję? Zresztą nie myślałem bezustannie o przeliczaniu. Grało się, bo się lubiło grać, i jeszcze wpadło za to parę złotych.

— A kiedy powstał „Bemol”? Pytam, bo „Bemol” to początek historii lubelskiego jazzu.

— W połowie 1955 r. Najpierw zresztą w nietypowym jeszcze składzie, grającym utwory taneczne. Ale dość szybko przekształcił się w zespół dixielandowy grający jazz tradycyjny. Temu zespołowi szefowaliśmy wspólnie z klarnciście i saksofonistą Ryszardem Woyno, wówczas studentem historii sztuki KUL. Dzisiaj Rysio jest szacownym urzędnikiem, wicedyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. A ja zostałem przy muzyce i przy fortepianie.

— My wciąż o występach, o „Bemolu”, o jazzie, a zapomnieliśmy o rzeczy podstawowej: skąd to twoje granie?

— No, bo nauczyłem się go; skończyłem szkołę muzyczną im Stanisława Moniuszki we Wrocławiu.

— Więc chciałeś zostać muzykiem?

— Oczywiście!

— To dlaczego poszedłeś na... prawo?

— Wcale nie tak zaraz — na prawo. Najpierw była Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie na którą wstąpiłem — niestety — za namową rodziców. Miałem zyskać fach, który przynosi pewny i ucziwy kawałek chleba. Potem była przymiarka do Wyższej Szkoły Aktorskiej również w Krakowie. Po dostaniu się na wydział aktorski zrezygnowałem po kilku miesiącach.

— Nie czułeś w sobie „iskry Bożej”?

— Skądże! Uległem perswazjom rodziny. No i w końcu jako że w rodzinie miałem sporo prawni-

ków, przekonano mnie, że jak już nie chcę zostać inżynierem-górnikiem, jak wykazałem dość „mądrości” żeby nie wiązać się ze sceną to pozostaje tylko kontynuować rodzinne tradycje prawnicze.

— Ale ciebie wciąż ciągnęło do sztuki...

— Na to wychodzi. Chociaż nie żałuję wcale, że nie zostałem aktorem. Dziś, z perspektywy lat, zdaję sobie sprawę, że moim właściwym życiowym powołaniem była jednak muzyka. Tylko kto z nas, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, mając lat dwadzieścia i pełno „doradców” na karku, wie na pewno, co jest jego życiowym powołaniem?

— Właściwie poświeciłeś się jednak, poza muzyką, także scenie. Estradzie, kabaretowi...

— Pewnie była we mnie zawsze jakaś dwoistość. A trochę wynikało to z przypadku. Jako student trzeciego roku prawa otrzymałem propozycję współpracy z lubelską „Estradą”. Była druga połowa lat pięćdziesiątych. Pojechałem w charakterze pianisty-kompozytora w swoje pierwsze estradowe tournée po województwach: lubelskim, białoostockim i bydgoskim. Skład zespołu przedstawiał się niebagatelnie: Stefan Wiechecki (popularny felietonista „Wiech”), Ewa Witting-Larsen — śpiewaczka Opery Warszawskiej, jazzująca niemiecka piosenkarka Ellen Morris, Tadeusz Chelmiński — obecnie jeden z najwybitniejszych na świecie iluzjonistów, występujący pod pseudonimem „Salvano”, oraz Eugenia Borysewicz, która prowadziła konferansjerkę. No i ja. To był złoty okres dla artystów estrady. Rynek niesamowicie chłonny i, zdawało się, niewyczerpany. Ludzie waliłi do sal drzwiami i oknami. Nie to, co teraz.

— A dlaczego dzisiaj nie walą?

— Bo dzisiaj rynkiem estradowym zawiadnęła muzyka młodzieżowa: niezliczona ilość zespołów muzyczno-wokalnych. „Mocne uderzenie”, haevy-metal itp. A poza tym jest teraz wszechobecna telewizja, która zatrzymuje ludzi w domu. I co nie mniej istotne, fakt, że dzisiaj ludzie są zaganiani za pieniądzem, przepracowani, zmęczeni. Jak już ktoś wreszcie znajdzie chwilę wolnego czasu, to woli w miękkich ciapach siedzieć w domu, zamiast sztykować się do wyprawy z odległego najczęście, osiedla do centrum miasta na występ. Nie dotyczy to, oczywiście, młodzieży, która nieustrudzenie (do czasu) biega na dyskotece.

— Mówisz o estradowych „ansamblach”, o dużych imprezach. A kameralny kabaret, forma estradowa, która jest ci chyba najbardziej bliska... Czy przetrwało zainteresowanie kabaretem?

— Wyobraź sobie, że tak! Obserwując na co dzień te sprawy od prawie trzydziestu lat, to znaczy od chwili, gdy związałem się z lubelskim „Czartem” (który zakładaliśmy jeszcze w końcu 1959 r. z dziennikarzami „Kurier Lubelskiego”, Andrzejem Malinowskim i Ryśkiem Nowickim), z niejakim zaskoczeniem stwierdzam, że kabaret to jedna z niezbyt licznych w naszym kraju instytucji, która wciąż jakoś prosperuje.

— Hmm... A co najbardziej widzisz w tym naszym polskim kabarecie odpowiada: abstrakcyjna sytuacja, polityczna satyra, pure-nonsensowy wyświełek, piosenka?

— Przede wszystkim — satyra polityczna.

— Wentyl, który pozwala schwytać, na chwilę oddech?

— Ale obserwuje się zarazem pewien zwrot w „zapotrzebowaniu” ze strony publiczności. No bo w jakimś momencie wszystkie kabarety w kraju z taką zachłannością rzuciły się na satyrę polityczną, że nastąpiło coś w rodzaju przesytu u widzów.

— Tak jak rozliczanie stalinizmu i beriołszczyzny — wśród czytelników prasy...

Z teki
Tomasza
Wilczkiewicza



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie praw skróto-
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie ul. Unicka 4
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza NSW „Prasa — Kultura — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 4 tel. 358-38

Adres redakcji: 20-058 Lublin ul. Skłodowskiej 11.
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 355-93, sekretarz redakcji 318-93, dział publicystyki i literacki 325-36. Korrespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-058 Lublin skrytka pocztowa 231 polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 871, 27.04.88, A-4

Szaleństwo wojny

PRZEZ trzydzieści lat walory „Mostu na rzece Kwai” Davida Leana mogliśmy ocenić jedynie na podstawie... słynnej melodii z tego filmu, która sama już stała się światowym przebojem. „Przejściowe trudności” sprawiły bowiem wciąż, że nie mogliśmy jakoby sprowadzić do kin w zakup kinowej licencji Wprawdzie pokazano kiedyś „Most na rzece Kwai” na ekranie telewizyjnym w ramach cyklicznego przeglądu kina światowego, ale prezentowanie przez telewizję tego rodzaju wielkich widowisk filmowych właściwie zupełnie mijają się z celem. To tak, jak oglądanie i ocenianie „Królewny Snieżki” Walta Disneya przekopiowanej z barwnej taśmy na czarno-białą, a potem wyrażanie zdumienia, co właściwie takiego zachwyca dziecięcą publiczność w tym szarym, ponurym filmie...

„Most na rzece Kwai” został nakręcony z myślą o kinowej rewelacji lat pięćdziesiątych — szerokim ekranie oraz z wykorzystaniem najlepszej, najnowocześniejszej wówczas techniki filmowej. Począwszy od dających niezwykle możliwości zdjęciowe, nowych kamer, a na barwnej taśmie skończywszy. Jedną z jego podstawowych cech jest widowskość, o co zadbał: scenograf Donald M. Ashton oraz operator Jack Hildyard (którzy wspólnie plenery „Mostu na rzece Kwai” kręcili w dżunglach i wśród gór Cejlonu) A także — umiejętność operowania wielką masą statystów w sposób na tyle doskonały, aby stanowiła ona wiarygodne tło dla zasadniczego wątku dramaturgicznego, i to już zasługa całej ekipy realizatorskiej.

Epicka opowieść o obozie wojennych jeńców brytyjskich, wziętych do niewoli przez Japończyków podczas walk na Malajach na początku lat czterdziestych i zmuszanych do budowy strategicznej linii kolejowej wiodącej poprzez dziewięć dziesięć kilometrów z Tajlandii ku Birnie, była w latach pięćdziesiątych odwołaniem się do wciąż żywej na świecie pamięci o okrucieństwach drugiej wojny światowej. To tutaj właśnie, nad rzeką Kwai, niedaleko od Bangkoku, zmarło z wycieńczenia, głodu, fatalnych

warunków obozowych oraz z powodu tropikalnych chorób kilkadziesiąt tysięcy Brytyjczyków więzionych przez żołnierzy Mikada w warunkach urągających każdemu z punktów Konwencji Genewskiej. Istnieje rzeka Kwai, został istotnie zbudowany ponad nią mostami jeńców w niezwykle prymitywnych warunkach, most kolejowy i do tej pory istnieje też przy linii kolejowej rozległy jeniecki cmentarz. Inna sprawa, że fakty przedstawiały się nieco inaczej niż w filmie, opartym na odwołującej się tylko do autentyki powieści Pierre Boulle'a. Rzeczywistość nad rzeką Kwai w latach 1943—1945 była o wiele mniej barwna i o wiele bardziej tragiczna niż w „Mście na rzece Kwai”.

W 1957 r. film Davida Leana był światową rewelacją. Otrzymał aż siedem Oscarów. Jeden z nich przypadł rewelacyjnemu Alecowi Guinnessowi za rolę dowódcy wziętego do niewoli brytyjskiego batalionu pułkownika Nicholsona.

Czy w ciągu trzydziestu lat „Most na rzece Kwai” nie zestarzał się? Czy dzisiaj, dla współczesnej, zupełnie innej niż przed laty publiczności, granicy w zupełnie innej epoce dla innego pokolenia, nie jawi się on jako efektowna, stara, przyblakła fotografia? Czy potrafił sprostać dzisiejszym wyobrażeniom o dobrym kinie przygodowo-widowskim?

Zaskakujące, ale jest „Most na rzece Kwai” dzisiaj dla widza filmem równie rewelacyjnym co przed trzema dziesiętkami lat! Więcej: jest filmem przewyższającym wiele współczesnych kręconych filmów o podobnej tematyce. Obrazem, który — co się rzadko w kinie zdarza — zachował pełnię młodoci.

Może zawiść, że jest „Most na rzece Kwai” nie tylko — lub nie tyle — swego widowiskowości oraz wątkowi sensacyjnemu (równocześnie z postępującą budową mostu, którego terminowe zbudowanie jest ambicją jeńców, rozwija się „z zewnątrz” akcja brytyjskich komandosów, mających zniszczyć most w momencie wjechania nań pierwszego pociągu), co swym głębokim walorem humanistycznym, filozoficznym i zadumie reżysera nad kondycją człowieka.

Davidowi Leanowi udało się w sposób doskonały połączyć widowiskowość i przygodowość filmu (relacje o niezwykłych perypetiach jego bohaterów, obozowych więźniów oraz zdążających do wykonania swego zadania komandosów) z opowieścią o niezłomności ludzkiej, o wierności moralnym zasadom, o poczuciu odpowiedzialności oficera za los i morale wziętych wraz z nim do niewoli ludzi.

Głównym bohaterem nie jest tutaj „gwiazda” tego filmu — przystojny mężczyzna, niegdyś żołnierz (William Holden), deszujący się najpierw w obozowym szpitalu, a potem, gdy już został do tego zmuszony, wykazujący się niezwykłą żołnierską odwagą, ale podstarzały, trochę zabawny w swej niezłomnej „wierności zasadom” oraz paragrafom regulaminu, pułkownik Nicholson (Alec Guinness). To jednak właśnie Nicholson, ze swymi śmiesznymi zasadami, ze swoją „tępa” nieustępliwością wobec okrutnego japońskiego komendanta obozu pułkownika Saito, urasta do wymiaru symbolu, odnosi zwycięstwo. Potrafi zdominować swego prześladowcę, a swych ludzi wyrwać z marazmu, otępienia, natchnąć ich znowu chęcią życia i walki przetrwania. Mają „z własnej woli” a nie — przmuszeni przez Japończyków, zbudować most, który będzie ich chlubą i także — pomnikiem ich niezniszczalności wobec przyszłych pokoleń.

Tak pomysłiany wątek pułkownika Nicholsona nie wykraczałby jednak poza pewien, właściwy dla wielu podobnych filmów „wojennie-obozowy” schemat. David Lean idzie jednak znacznie dalej: w pewnym momencie Nicholson jakby wyabstrahował się z otaczającej go wojenno-jenieckiej rzeczywistości. Jakby nie było toczonej wokół wojny, jakby mniejszy problem stanowiła już dla niego troska o zdrowie i morale pracujących przy moście żołnierzy istniejące tylko w moście! Dzieląc jego życie, zwięźdzające lata kariery wojskowej i jest to także: pomnik trwałości i niezłomności Brytyjskiego Imperium!

Dlatego właśnie, odkrywając, że most ma wylecieć w powietrze, pułkownik Nicholson rzucił się na brytyjskiego komendosa mającego przekreślić dźwignię zapalnika JEGO i jego ludzi most — nie może ulec zniszczeniu!

Ale nic już nie zatrzyma nadszyciąjącej Apokalipsy: most wylatuje w powietrze; głą budowniczości i dywersanci, zwycięzcy i zwyciężeni; rozsypują się w proch szczytne idee; wała się w gruzy pomniki ludzkiego wysiłku i pomniki ludzkiego ducha. A znad tego chaosu, poprzez ścianę dymu i ognia, płynnie nad trupami poległych Anglików i Japończyków tragicznie wołanie brytyjskiego lekarza obozowego: „Szaleństwo, szaleństwo!!!”. Szaleństwo wojny.

I właśnie ta wymowa filmu, ten ponury finał „przygodowo-wojennej” superprodukcji, stanowi o nieprzemijalności i świeżości „Mostu na rzece Kwai”.

M. D.

Poczta literacka

Anna W. Sosnowiec. Nie myli się Pani przyjaciółka, Elżbieta D. z Zajezdźca w Radomsku, że Pani wiersze są poczytane. Tak, czynią na czytającym spore wrażenie, charakteryzują się już niemal dyscypliną, dobrą gospodarką słowem w obrębie danego utworu, a z powszedniości wyluskują istotę człowieczych przeżyć.

Do najbliższych numerów naszego piśmiennictwa została już zakwalifikowana. Jej autorzy czekali na druk od dawna. Na Panią przyszłyby kolej zapewne w drugim półroczu. Ponieważ po pierwszym czerwca udają się na emeryturę, utwory Pani przekładę do owentualnego wykorzystania swemu następcy. Proponuję cierpliwość, ale i upor, śmielsze zwracanie się do czasopiśmiennictwa, to bez pośrednictwa choćby najbardziej życzliwej osoby.

Jarosław P. Piaski. Wydaje mi się, że wśród nadesłanych wierszy (mało czytelników jednak) wyróżniają się nieco korzystnie te, które mają intencje satyryczne. Dopóki jesteśmy dwutygodnikiem, takich utworów nie zamieszczamy. Może Pan się rozwinie, a nasze możliwości wzrosną?

Jarosław P. Łęczyca. Wiersze, owszem, zgrabne, błyskotliwe. Jednak miejsca w „Kamieniu” tak mało. Może kiedyś, kiedy...

Tadeusz B. Ostrołęka. Dokładnie to samo. Zbyt wiele nagromadziło się zapasów w redakcji. Pańskie wiersze zapewne dałoby interesujące przeżycia naszym Czytelnikom, ale... sam Pan rozumie.

Grzegorz H. Lublin. Przedłożone wiersze charakteryzują się nadmiernym, szeregocelowym opisem, typowym dla prozy. Niestety, nic więcej z tego nie wynika.

TJ

„Kamień” przyjmuje ogłoszenia!

- Najniższe ceny
- Krótkie terminy
- Niekonwencjonalne formy
- Dwa tygodnie w kioskach
- Zasięg ogólnopolski

Oferty przyjmują biura ogłoszeń i urzędy pocztowe w całym kraju. W Lublinie — Biuro Ogłoszeń, ul. Rybna 13, tel. 214-23.

Krzyżówka nr 10 szyfrogram literacki

- Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przednieć do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment utworu pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.
- Wyrazy pomocnicze
1. zakład karny — 15. 32. 100. 53. 44. 70. 134. 112. 89.
 2. wojskowa służba zaopatrzenia — 28. 1. 13. 35. 71. 152. 166. 120. 38. 147. 153. 14.
 3. gra na korbie — 26. 157. 33. 48. 129.
 4. inny niż wszyscy — 10. 56. 136. 67. 45. 34. 127. 144. 30.
 5. żeton — 8. 78. 160. 130. 79. 150. 68.
 6. zmierzanie dokądą — 11. 22. 143. 86. 149. 165. 60.
 7. na parapecie z sokiem — 36. 124. 103. 51. 37. 54. 5. 41.
 8. inserat — 16. 63. 82. 163. 125. 81. 29. 7. 107. 97.
 9. miękisz owocu — 19. 88. 18. 96. 151. 57.
 10. sąsiaduje z Czeladzią — 140. 20. 74. 69. 99. 50.
 11. groźny nowotwór — 46. 110. 167.
 12. geologiczna dziura w ziemi — 31. 101. 17. 72. 24. 141. 131.
 13. z owoców lub z akt — 84. 132. 116. 156. 8. 77.
 14. wynik mnożenia — 85. 40. 83. 43. 161. 135. 145.
 15. pasta do butów — 3. 91. 93. 75. 27. 117. 108. 162. 62.
 16. miasto pod Łodzią — 4. 155. 146. 49. 64. 61.
 17. obelżywe słowa, polajanki — 115. 39. 113. 121. 25. 109. 106.
 18. II i III Sas — 2. 76. 94. 102. 98. 92.
 19. mniej niż busola — 87. 55. 122. 47. 73. 12.
 20. truskawka lub jabłko — 42. 123. 139. 68.
 21. traktat — 154. 90. 58. 111. 118.
 22. handel cudzymi rzeczami — 21. 159. 128. 104. 119.
 23. retoryka, krasomówstwo — 133. 139. 105. 95. 164. 142.

1	2	3	4	5	6	7	8		9	10	11	12	13	14	15	16	17
18		19	20	21	22		23	24	25	26		27	28	29		30	31
	32	33	34	35	36	37		38	39	40	41	42		43	44	45	46
47	48	49	50	51	52		53	54	55	56	57	58	59	60		61	
62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73		74	75	76	77	78
79		80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90		91		92	93
94	95		96	97		98	99	100		101	102	103	104	105	106		107
	108	109	110	111	112	113	114		115		116	117	118	119	120	121	122
	123	124	125	126	127	128		129	130	131	132	133	134	135	136		137
138	139	140	141	142	143	144	145	146	147		148		149	150	151		152
153	154	155	156	157	158	159		160	161	162	163	164	165	166	167	168	

24. przeczenie, odrzucenie — 59. 52. 158. 168. 80. 23. 65.
25. bramkarskie podanie piłki nogą — 137. 114. 126. 148. 9.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 zł.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻOWKI NR 8
SZYFROGRAMU LITERACKIEGO**

Endeckość w pojęciu zwolenników Narodowej Demokracji była synonimem polskości. Katolicyzm również był polski. To znaczy powierzchowny i silnie z nawykami nie najlepszych tradycji związany niż z istotną potrzebą wiary.

**Jerzy Andrzejewski
NOTATKI DO AUTOBIOGRAFII**

Nagrodę wylosowała Joanna Ciszewska 20-098 Lublin, ul. Poniatowskiego 8 m. 1.